

Grey Scale #13



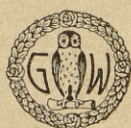
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

58.76.384

JAN KUCHARZEWSKI

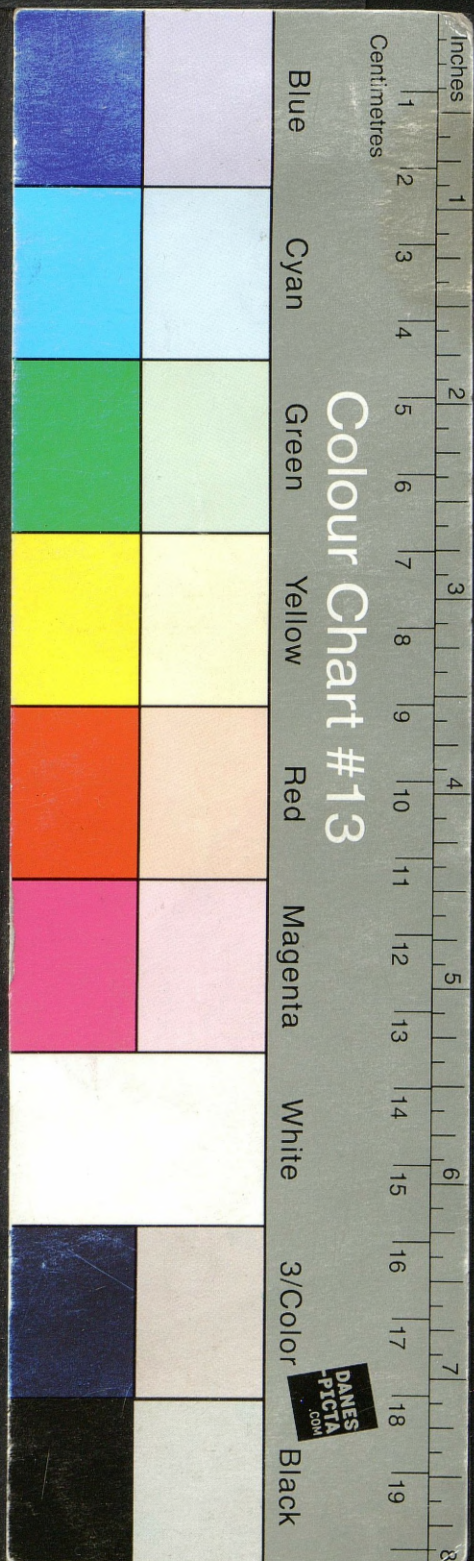
POWSTANIE LISTOPADOWE

PRZEMÓWIENIE, WYGŁOSZONE W LOZANNIE
W SALI KASYNA W DNIU 29 LISTOPADA 1915 ROKU.



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA

151



588.76.384

JAN KUCHARZEWSKI

POWSTANIE
LISTOPADOWE

PRZEMÓWIENIE, WYGŁOSZONE W LOZANNIE
W SALI KASYNA W DNIU 29 LISTOPADA 1915 ROKU.

VI



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA

N 7578

JAN KUCHARZEWSKI

POWSTANIE LISTOPADOWE

PRZEMÓWIENIE, WYGŁOSZONE W LOZANNIE
W SALI KASYNA W DNIU 29 LISTOPADA 1915 ROKU.

VI



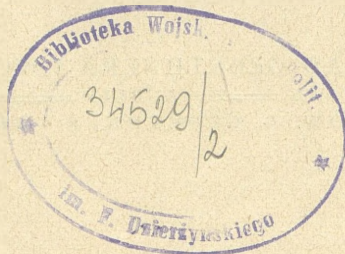
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA

33/422/3 337.71 (422)

TŁO CZ N I A
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie.



WYDANO Z DUBLETÓW
Edycji 1. i 2. wydania



Twórcy powstań szczęśliwych mają pomniki, a popiersia ich ludy wieńczą wawrzynem przez długie wieki.

Twórcy powstań nieszczęśliwych mają w nagrodę szubienice i szafoty, a zwą się buntownikami.

A na samotną, wyklętą przez ciemieców mogiłę przyjdzie od czasu do czasu dziecko, które wraz z pierwszą modlitwą słyszało od matki opowieść o bohaterze, i rzuci wiązkę kwiatów.

A w rocznicę ich czynu zbiorą się w katakumbach rodacy na rozpamiętywanie. I w duszach ich brzmi przysięga Hannibala.

I oto powstaje pomnik trwalszy od spizu.

Lecz gdy naród zbyt długie lata w niewoli i ciemnocie będzie trzymany, wówczas znajdą się już wśród niego ludzie, co zlorzeczyć zaczną pamięci nieszczęśliwych bohaterów.

Ostatnie powstanie nasze zakończyło się straszną klęską i oto pod jej wrażeniem cały obóz dziejopisarzy, polityków, publicystów, a za nimi ciżba zwykłych zjadaczy chleba w czambuł potępiać zaczęli wszystkie próby nasze odzyskania niepodległości po rozbiorach. W zapale pedagogicznym odsądzali oni od rozumu i wszelkiej zasługi nie tylko twórców nieszczęśliwego powstania styczniowego, lecz i twórców rewolucyi listopadowej i, niepomni na to, że upadła ona jedynie niedołęztwem przywódców, przedstawiali ją, jako krwawą, beznadziejną od samego początku hekatombę.

Nie szowinizm bynajmniej, który sili się sztucznie ubarwić najmroczniejsze karty dziejów rodzimych, lecz trzeźwa nauka historyczna poucza nas dziś, że powstanie listopadowe miało wszelkie warunki wygranej.

Autorowie obcy, jak niemiecki generał Willisen, rosyjanie nawet sami, jak generał Dawydow, który brał czynny udział, jako partyzant, w walce z powstaniem, jak półurzędowy historyograf generał Puzyrewskij stwierdzają dowodnie, acz ze zrozumiałą pod ich piórem oględnością, że dowódcy powstania uczynili wiele, uczynili wszystko prawie, aby powstanie zgubić. Stwierdzają ci pisarze, w większości wrodzy Polsce, że powstanie było ruchem, niesłuchanie dla Rosyi groźnym, że postawiło ono parokrotnie Rosyę już na progu strasznej klęski; stwierdzają oni zarazem rzecz dla nas, gdy to czytamy, bolesną, iż wodzowie powstania, dziwnym obłędem wiedzeni, za rzecz jedynie realną uważali to, co było od początku chimera, to jest wynegocjowanie Polski w drodze układów, za utopię zaś uważali to, co było rzeczą jedynie realną i co, pomimo strasznych błędów, parokrotnie się powstaniu udało, a mianowicie zwyciężenie nieprzyjaciela. Co jednak gorsza, to to, iż rozlegają się już czasami i słowa moralnego potępienia na bohaterów wybuchu listopadowego, jako na tych, którzy lekkomyślnie jakoby zniszczyli pierwiastki kielkującej szczęśliwej doli. Takie głosy słyszeliśmy już w ostatnich czasach...

My, z mogiły naszej rodem, mielibyśmy złorzeczyć już tym, którzy kamień grobowy, matkę żywą przytłaczający, podważył usiłowali! Gdy wróg nasze miasta i sioła pustoszy, lud w jassyr uprowadza, my tratować mielibyśmy w opętańczym szale mogiły bohaterów! Zaprawdę, musi naród pierwaj przyjść do obłąkania, w duszy jego zciemnieć i zgasnąć musi wewnętrzne światło na to, aby już cienie bohaterów tułały się bez czci i poszanowania. Rodak Wilhelma Tella nie pojmie tego, nie doświadczył tego rodak Garibaldi'ego, ale i ten wstyd przeżyć muszą rodacy Kościuszki i Traugutta. A cóż, jeśli Ojczyzna naprawdę jutro zmartwychwstanie i skałę tarpejską wzgardy

dla łączących jej chwałę postawi i przyjmie do siebie wierne i dobre swe syny, a złe odtrąci i wypędzi kupeczące cześć narodu ze swej świątyni!

Rewolucya listopadowa tkwi korzeniami swemi w tragedyi rozbiorów. Był niepodległy tak niedawno utracony, żyją jeszcze sędziwi świadkowie rozbiorów, pokolenie młodsze przeżyło dni odrodzonej chwały oręża polskiego i parokrotnie czuło się już w przededniu odzyskania Ojczyzny: atmosfera ta stwarzała konieczność duchową chwycenia za broń, dopóki nie zgasła nadzieja orężnego wyzwolenia. Było powstanie listopadowe koniecznym aktem długotrwałej walki pomiędzy narodem polskim a mocarstwem, które dzierżyło cztery piąte części dawnej Rzeczypospolitej. Różne epizody, które powstanie poprzedziły—Nowosilcow i Konstanty, Szaniawski i Grabowski, sąd sejmowy i utarczki opozycyi z rządem—to tylko fragmenty wielkiego dramatu, symptomata konfliktu raczej, niż jego przyczyny.

Po rozbiorach naród polski jakby zapadł w ziemię, a imię jego trzy mocarstwa, za solidarną zgodą, wykreśliły z listy ludów. I gdyby od owej chwili aż do dni naszych trwał stan, tak zwany normalny, stan pokojowego systematycznego tepienia ludów ujarzmionych, jużby naród polski może nie istniał. Lecz na szczęście dla ludów podbitych, ten stan pokojowego narodożerstwa nie bywa w Europie trwały; od czasu do czasu tą starą częścią świata, kryjącą tyle krzywdy w swem politycznym łonie, wstrząsa straszny dreszcz, a wówczas, wśród wielkiego trzęsienia ludów, wstają z grobów żywcem zagrzebani i wołać zaczynają. Jest to tragedją Polski, iż wtedy dopiero, gdy świat wychodzi z posad, gdy połowa kuli ziemskiej we krwi się pławi, wówczas dopiero dla narodu polskiego, wśród piorunów strasznej klęski, błyska świt wyzwolenia. Podczas wielkich wojen europejskich mocarze walczący, szukając gorączkowo sił sprzymierzeńczych, rzucają okiem na środek Europy i dostrzegają, że żyje tu naród wielomilionowy, nieszczęśliwy, który gotów jest ponieść olbrzymie ofiary na skinienie tego, kto mu ślubuje przywrócić ojczyznę,

kto błysnie kunsztownie przed wzrokiem jego świetlaną marą wskrzeszonej Polski. Oto jest tajemnica *wskrzesicieli* Polski—czy będą nimi Napoleon i Aleksander I, czy późniejsi ich naśladowcy.

Napoleon w wielkim pojedynku z carem wziął do ręki talizman polski i straszył nim śmiertelnie Aleksandra, chcąc go zmusić do wiecznego przymierza. Aleksander widział w wyłękłej wyobraźni państwo swe już odrzucionem w stepy, skurczonem do dziedzin dawnych kniaziów moskiewskich i kładł za warunek przymierza pogrzebanie imienia Polski: *Le Royaume de Pologne ne sera jamais rétabli*. Jednocześnie kielkuje w głowie Aleksandra współzawodniczy plan ujęcia sprawy polskiej w swe ręce, przelicytowania Napoleona w obietnicach, a zwłaszcza przekonania polaków, iż jedynie car wszechrosyjski odbudować ich ojczyznę jest mocen.

Wskrzeszenia Polski nie podjął się na dobre ani jeden ani drugi. Lecz imię Polski wskrzeszonym zostało na polach bitem, gwiazda, co wydawała się już zagasłą, znowu zajaśniała, legiony obudziły zapomnianą sławę. Nadzieje Polaków, obudzone poczuciem własnej siły, interesownie podsycane, wezbrały, lecz owoc Kongresu Wiedeńskiego był gorzki dla Polski. Drobne Królestwo Konstytucyjne między Bugiem a Prosną mogło być w oczach Polaków jedynie tem, czem było Księstwo Warszawskie w oczach Kołłątaja—zawiązkiem przyszłej Polski. Pojęcie Polski etnograficznej, zakreślonej na wschód granicą Kongresówki, było w owych czasach absurdem. Na wielkich obszarach, na wschód od tej granicy, wszystko, co tylko tchnęło oświatą, ogładą, było polskie. Inne ludy nie obudzone tam były do życia, niepolskim był tylko żywioł gminny—niemy, głuchy i ciemny. Rozumiał to aż nadto dobrze Aleksander I, migocąc przed wzrokiem polaków widmem przyszłej Polski, przedstawiał ją, jako Polskę obszerną, szeroko na północ i wschód rozpostartą, i o takiej Polsce mówił z Czartoryskim, Ogińskim, Kniaziewiczem. O takiej Polsce uczynił mamiącą, uludną wzmiankę w samym akcie Kongresu Wiedeńskiego, zastrzegając sobie

formalnie możność rozszerzenia Królestwa Konstytucyjnego (*extension intérieure*), to jest dołączenia doń w przyszłości ziem litewsko-ruskich. Do takiego właśnie odbudowania Polski stosowały się nieodłączne od wszystkich mów tronowych, jakie Aleksander w Warszawie wygłosił, obietnice i aluzye.

Obietnice te, gdyby nawet czynione były na seryo, nie były ziszczalne, wykonanie ich przekraczało moc cara. Rzecz osobliwa, ciż sami rosyjanie, którzy znosili kornie wszelkie kaprysy monarszego despotyzmu, zdobywali się na śmiały protest wówczas, gdy zjawiała się pogłoska, iż car chce oddać Polsce zagarnięte przez babkę jego ziemie. Już na Kongresie Wiedeńskim napłynął do Aleksandra szereg wiernopoddańczych podań i memoriałów, odwodzących go od rzekomo żywionej przezeń myśli odbudowania Polski w dawnych granicach. Generał Czernyszew, Łanskoj, Pozzo di Borgo w wyrazach, nacechowanych pozorną pokorą, lecz w istocie teńnych protestem, ostrzegali swego władcę, iż Polska jest nieprzejednanym wrogiem dziedzicznym Rosyi. W parę lat potem, gdy znowu rozchodzić się zaczęły pogłoski o rzekomym zamiarze cara przyłączenia do Kongresówki ziem litewsko-ruskich, dziejopis nadworny Karamzin odczytał mu memoriał niemal zuchwały w treści, jak na pokornego poddanego samodzierzcy, wykazujący Aleksandrowi, iż nie ma on prawa uszczuplać dziedzictwa, zdobytego krwią rosyjską i przekazanego mu przez ojca i babkę.

To była fronda dygnitarska, niby złowrogie echo spisku, który usunął Pawła. Lecz może w swych rzekomych zamiarach restytucyjnych co do Polski poparty będzie Aleksander przez opozycję liberalną, nurtującą za jego rządów, a która wybuchnie z czasem, jako zamach stanu decembrystów? Bynajmniej, właśnie bowiem w tych kołach rewolucyjnych, wieść o zamiarze przywrócenia Polski przedrozbiorowej wywołała oburzenie. Spiskowiec Jakuszkin pod wrażeniem tej wieści nosił się nawet chwilowo z myślą carobójstwa. Fakt ten wyszedł na jaw podczas śledztwa nad decembrystami za Mikołaja I i ta rewelacya dodała Mikołajowi pewności, iż w swej polityce przeciwpol-

skiej nie potrzebuje obawiać się opozycji ze strony swych poddanych.

Aleksander więc, gdyby nawet był chciał, nie mógł wykonać obietnic, któremi podobało mu się aż do samego skonu ludzi polaków. Mikołaj ziszczać ich zupełnie nie myślał i nie robił z tego żadnej tajemnicy. W tych warunkach Polacy mogli byli albo rozstać się z nadziejami albo spróbować oręża. Wybrali to drugie. — Burzę rewolucyjną poprzedzają zwykle zwiastujące obłoki spisków. Przyjdzie więc Wolnomularstwo Narodowe Łukasińskiego, Kosynierzy Umińskiego, Filareci i Promieniści wileńscy, Towarzystwo Patryotyczne Krzyżanowskiego, wreszcie spisek Podchorążych. 15 grudnia 1828 r. w mieszkaniu podporucznika grenadyerów gwardyi, wykładającego taktykę w Szkole Podchorążych, Piotra Wysockiego zeszło się kilku podchorążych i tu powstała organizacya spisku. Następnego dnia zebrano się w temże mieszkaniu w liczniejszym gronie i ułożono krótkie zasady związku. Każdy z członków zobowiązał się bronić zagrożonej karty konstytucyjnej do ostatniej kropli krwi, w razie uwięzienia nie wydać nikogo ze współników, nawet pod grozą tortur, i nie przyjmować do związku ludzi nałogowo oddanych kartom czy pijaństwu i wogóle osób charakteru skazitelnego.

Wszelki spisek ma naturalną dążność do szybkiego wybuchu; w razie zwłoki grozi mu ujawnienie i katastrofa. Już przeto na marzec 1829 r. przygotowywano wybuch, postanowiono atoli odroczyć rzecz do maja, do zapowiedzianego na ten miesiąc obrzędu koronacyjnego. Ułożono plan, który dał następnie wątek do Kordyana. Spisek, zwany koronacyjnym, istniał rzeczywiście, świadczą o tem niezbite świadectwa pamiętnikarskie, opisuje go później na wychodźstwie jeden z wtajemniczonych Aleksander Łaski, który w dniu krytycznym dowodził Podchorążymi na Placu Saskim podczas rewii, odbytej w obecności Mikołaja. Tytus Działyński miał być spiskn tego autorem. W ostatniej niemal chwili, za radą wtajemniczonych w sprawę posłów sejmowych, zwłaszcza Gustawa Małachowskiego, zaniechano planu

Rzecz spiskowa uległa teraz znacznej zwłoce. Dopiero w r. 1830, podczas sesyi sejmowej, spiskowcy rozrzerzyli swą propagandę.

Wybuch Rewolucyi Lipcowej paryzkiej, a bardziej jeszcze sierpniowej belgijskiej dolał oliwy do ognia. Werbowanie zwolenników zaczęło iść raźniej. Utworzyły się dwa ogniska spiskowe: wojskowe i cywilne. Jest w gaju łązienkowskim niedaleko pałacu budynek, gdzie mieściła się dawniej oficyna dla służby ostatniego Króla Polskiego, a za Królestwa Kongresowego Szkoła Podchorążych. Tu było ognisko wojskowe spisku. Na drugim krańcu Warszawy w domu, należącym do klasztoru Sakramentek, w dwupokojowym mieszkanku, zajmowanem przez Seweryna Goszczyńskiego i Michała Grabowskiego, zbierała się młoda entuzyastyczna młodzież literacka, która burzyła się przeciw uznanym powagom literatury — klasykom, torowała nowe drogi twórczości, szukała nowej Polski duchowej. Duch rewolucyjny tego kółka z krainy literatury łatwo przenosił się w dziedzinę polityczną. Tu do późnej nocy nieraz toczono rozmowy, które zaprowadziłyby uczestników do więzienia u Karmelitów lub Marcinkanek, gdyby były podsłuchane przez którego z licznych szpiegów Konstantego lub Roźnieckiego. Bywał tu Ludwik Nabelak, Maurycy Mochnacki, Jan Ludwik Żukowski, Józefat Ostrowski, Bohdan Zaleski, Adam Gurowski i inni. Kółko to przez osobiste związki doszło niebawem do porozumienia ze spiskiem Podchorążych. W jesieni 1830 roku propaganda w wojsku zaczęła postępować raźniej. Każdy pułk podzielono na sekcye, w każdej sekcyi starano się mieć paru spiskowych. Wybuch wyznaczono na 18 października. Sygnałem i początkiem miało być zatrzymanie i uprowadzenie Konstantego, miejscem wąska uliczka, którą Konstanty jeździł zwykle na rewie z placu Trzech Krzyży na Plac Saski. Lecz i tym razem uznano, że spisek zatoczył zamale koło, wtajemniczonych było zaledwie siedemdziesięciu kilku wojskowych. W dalszym więc ciągu prowadzono agitacyę. Wtem rozniosła się wiadomość, że Mikołaj wydał rozkaz mobilizacyi, w zamiarze ruszenia na zachód celem zgniecenia rewolucyi belgijskiej oraz przywrócenia Burbo-

nów we Francyi, i że jako awangardę tej wyprawy przeznacza armię polską. To przyspieszyło powzięcie ostatecznej decyzji. Czas zresztą już był najwyższy, gdyż policya była na dobrym tropie i cała rzecz lada dzień wykryć się mogła. W końcu listopada oficerów spiskowych w załodze warszawskiej było około dwustu. Wyznaczono dzień 28, który następnie zmieniono na 29 listopada.

Sygnal miał być dany o godzinie 6 wieczorem, jednocześnie w dwóch stronach miasta: na Solcu przez podpalenie browaru, na Nowolipiu przez podpalenie starego drewnianego budynku. Na widok łuny wystąpić miała Szkoła Podchorążych i skierować salwę karabinową na trzy pułki jazdy rosyjskiej, mieszczące się w koszarach w pobliżu Łazienek. Jednocześnie oficerowie spiskowi wyprowadzić mieli z koszar oddziały wojska polskiego i rozbroić wojska rosyjskie. Ilość załogi polskiej Warszawy wynosiła około ośmiu tysięcy ludzi, rosyjskiej pięć tysięcy czterysta. Oprócz wspomnianych trzech pułków rosyjskich jazdy, kirasyerów, ułanów i huzarów, znajdowały się jeszcze w północnej części miasta w koszarach Marymonckich i Powązkowskich dwa pułki piezce rosyjskie—wołyński i litewski. Cywilni spiskowcy w liczbie kilkunastu pod wodzą dwóch podchorążych uderzyć mieli na Belweder i obezwładnić carewicza. Reszta ich powinna była udać się na Stare Miasto i tam wezwać lud do ruszenia przedewszystkiem na arsenał.

Dzień 29 listopada wypadł w roku 1830 w poniedziałek. W sobotę część podchorążych z brawurą młodzieńczą stawiała się na balu w Resursie Kupieckiej. Wskazując na młodzieńców ńczących, szepnął jeden z wtajemniczonych oficerów do Kickiego, przypatrującego się zabawie, iż ci młodzieńcy pojutrze inne rozpoczną pląsy. Kicki pojął, o co chodzi, i dał do zrozumienia, że mogą liczyć na niego. Nie zawiódł, zginął bohaterską śmiercią generał Kicki pod Ostrołęką. Wysocki i jego najbliżsi towarzysze gotowali się do sprawy z religijnem namaszczeniem, licząc, iż łatwo może ich spotkać śmierć na wstępie. W wigilię rozpoczęcia powstania odbyli spowiedź i komunię.

29 listopada nastąpił wybuch. Pierwsze jego wyniki zupełnie omyliły rachuby powstańców. Nie udało się ani pochwycenie carewicza ani rozbrojenie pułków rosyjskich. Podchorążowie zrobili swoje, zrobili więcej, niż od szczupłego hufca oczekiwać można było. W stu kilkudziesięciu zaatakowali trzy pułki jazdy rosyjskiej, wywołali nawet wśród nich chwilową panikę, wreszcie zewsząd otaczani przez parotysięcznego nieprzyjaciela, przebili się dzielnie ku miastu, torując sobie drogę bagnetem. Natomiast wyżsi oficerowie wojska polskiego prowadzili zewsząd oddziały polskie na sukurs Wielkiemu Księciu. Zaledwie wybuchnęła rewolucya, a z łona samej starszyny wojskowej przeciwno niej wysunęła się kontrrewolucya. Wincenty Krasiński, Kurnatowski, Stanisław Potocki, Turno i inni zwracali z drogi wyprowadzone z koszar przez oficerów spiskowych oddziały piechoty, konnicy i artylerji i prowadzili je w Aleje Ujazdowskie, gdzie stał z pułkami rosyjskimi oszołomiony, wylękły, niezdolny do śmielszego kroku Konstanty. Wśród pierwszych ofiar powstania było siedmiu wyższych oficerów polskich, z tych jeden zabity przez pomyłkę, inni za swe kontrrewolucyjne usposobienie. Lecz siedem nazwisk, wrytych na pomniku z Placu Zielonego w Warszawie, bynajmniej nie zamykają listy oficerów, którzy wybuch powstania przyjęli wrogo. Któż ręczyć może, iż Stanisław Potocki, Trębicki, Siemiątkowski, Meciszewski, Nowicki nie wzięliby udziału w rewolucyi, gdyby przeżyli noc 29 listopada! A jeśli umieszczać wraz z nimi nazwiska tych, którzy wieczorem 29 listopada tak samo, jak oni, czuli, to brak na pomniku tym wielu imion, przedewszystkiem dwóch przyszłych wodzów—Chłopickiego i Skrzyneckiego. W chwili wybuchu powstania Jan Skrzynecki grał w wista w mieszkaniu Siemiątkowskiego, gdy wtem dał się słyszeć w mieście zgiełk powstania. Skrzynecki poradził wówczas Siemiątkowskiemu, by stawiał się u boku wodza naczelnego. Gdy Siemiątkowski zawahał się, rzekł Skrzynecki: „Allez et dites à Monseigneur que je suis corps et âme à lui“ poczem sam odjechał konno do Pułtusza. Chłopicki, na którego od pierwszej chwili zwracały się oczy powstań-

ców, gdy wybuch nastąpił, ukrył się w mieszkaniu jednego z wojskowych w gmachu komisji wojny, a wyszedłszy stamtąd po dniach paru, nie ukrywał się ze swym niechętnym dla wybuchu usposobieniem.

Gdyby Konstanty miał być nieco odwagi i na czele pułków, które przy nim były, uderzył na szczupłe oddziały wojska polskiego, które się odrazu do powstania przyłączyły, i na ciźbę ludu, który, zaopatrzwszy się jako tako w broń z arsenału, przystał do ruchu, powstanie byłoby pewnie roztrącone w ciągu tejże nocy 29 listopada. Lecz to, co się tej nocy stało, było figurą i przepowiednią całej rewolucji listopadowej. Z jednej strony w warstwach wyższych narodu, a co najfatalniejsza, w starszyźnie wojskowej brakło wiary w powodzenie sprawy, stąd też od początku do końca dowództwo ruchu karygodnie chromało. Z drugiej atoli strony, i rosyjan ogarnął od początku jakiś lęk, bezwład, obawa przed powstaniem polskim i to usposobienie przygnębiłone, wzmagając się po każdym niepowodzeniu, odejście dzielność i odwagę komendzie rosyjskiej aż do ostatnich niemal chwil wojny. Tak więc staną przeciwko sobie dwie strony—jedna pewna wprawdzie swej słuszności, lecz w osobie dowódców swych niepewna powodzenia, stąd chwiejna, majacząca, kunktatorska, to polacy, druga strona—nietylko niepewna słuszności swej sprawy, a więc pozbawiona tego entuzjazmu, który miał żołnierz polski, lecz do tego wąpiąca o swym sukcesie—to rosyjanie. Ani jedna ani druga strona nie umiała wyzyskać słabych stron przeciwnika. Powstanie, przy niedołęstwie swych wodzów i szczupłości sił, parę razy ocalało dzięki niedołęstwu komendy rosyjskiej. Z drugiej strony wódz rosyjski tak nieudolnie prowadził kampanię, iż naprzykład w kwietniu 31 roku przy dzielności żołnierza polskiego, gdyby tylko dowództwo nie zawiodło było haniebnie, powstanie mogło być znieść armię rosyjską, nieogłędnie przez Dybicza na dużych przestrzeniach rozproszoną. Lecz tej szczęśliwej dla siebie gwiazdy, jaką był Dybicz Zabałkański na czele armii rosyjskiej, powstanie pod Skrzyneckim wyzyskać nie chciało. Po takim wyścigu niedo-

łęstwa dowódców upaść wreszcie musiała ta strona, której mogło być dać zwycięstwo jedynie szybkie, błyskawiczne działanie, górę zaś odnieść ta, która nieudolność wetować mogła przewagą liczby i środków. Rosya pomimo groźnych na wstępie zapowiedzi, okazała się do wojny źle przygotowaną. Dzie sięć tygodni od wybuchu powstania upłynęło, zanim armia rosyjska ukazała się w granicach Kongresówki. Rewolucya miała czas i możność rozwinięcia swych sił. Przedewszystkiem jednak należało odrazu pomknąć sprawę do ziem litewsko-ruskich, tam stał korpus litewski, znajdujący się pod rozkazami Konstantego, a w którym większość oficerów byli polacy. Gdyby na Litwę wkroczyła była, uprzedzając marsz wojsk rosyjskich, armia polska, łatwo byłaby korpus ten przeciągnęła na swą stronę. Należało oczywiście zatrzymać w Królestwie i rozbroić pułki rosyjskie wraz z Konstantym. Wszystko to były rzeczy elementarne i możliwe do wykonania, jak stwierdzają to wszyscy współcześni, nietylko nasi, lecz i obcy. Nie uczyniono tego jednak, jak nie uczyniono i szeregu innych rzeczy koniecznych, bo dyktator Chłopicki nie wierzył wcale w możność walki z Rosją i od samego początku myślał o układach. W rozmowie z osobami blizkiemi, Chłopicki nie ukrywał swych istotnych myśli. Gdy Dezydery Chłapowski przekładał mu, iż trzeba szybko powiększać siłę zbrojną do stu tysięcy ludzi, Chłopicki z niecierpliwością odrzekł, iż Rosya postawi trzysta tysięcy i armię polską zgniecie, i jakby sam widząc, iż przeholował w ocenienu liczby wojsk rosyjskich, wołał z pasją, co było jego zwyczajem, iż nawet gdyby Rosya miała sto tysięcy wojska a Polacy trzysta tysięcy, to i wówczas powstanie przegra. Jedynem wyjściem w oczach Chłopickiego było negocyowanie i daleko większą wagę przykładał do odpowiedzi, jaką przywieźć mieli z Petersburga delegaci Lubecki i Jezierski, niż do przygotowań wojennych, które lekceważył. Chłopicki rozpoczyna serję tragikomiczną wodzów-dyplomatów naszego powstania, bezbrzeżnie naiwnych i z naiwności swej sprawy sobie nie zdających. Chłopicki oświadczał Chłapowskiemu, że w drodze ukła-

dów uzyska od Mikołaja nietylko gwarancję przestrzegania konstytucyi, lecz i pozwolenie tworzenia rezerwy, umożliwiającej utrzymanie stu tysięcy żołnierza, i że wyjedna prawo posiadania pięciuset tysięcy karabinów i pięciuset dział, a wtedy można będzie rozpocząć z powodzeniem rewolucyę. „Nader naiwnym trzeba było być politykiem“ mówi z pogardliwą ironią Puzyrewskij o tych majaczeniach dyktatora „ażeby przypuszczać, że cesarz rosyjski zgodzi się na coś podobnego!“ Z takim usposobieniem ducha dowódca, zamiast rozwijać powstanie, tłumił jego pęd naturalny, z początku żywiłowo silny. Wszelkie nagabywania i nawoływania do uzbrajania pospolitego ruszenia zbywał niecierpliwymi a cierpkimi uwagami, mówiąc naprzykład, że im więcej będzie tej ruchawki powstańczej, tem więcej ludzi naprózno zginie i t. p. Konstanty wypuszczony został z kilkotysięcznym wojskiem, kilkudziesięciu działami, bogatym sprzętem wojennym, uprowadzając ze sobą nieszczęśliwego Łukaszińskiego. Oczywiście zjawienie się naczelnego wodza na Litwie odrazu odwracało całą sprawę udziału korpusu litewskiego na korzyść Rosyi, a na szkodę Polski. Gdy liczni żołnierze, głównie litwini i rusini, uciekali z pułków Konstantego i przybywali do Warszawy, Chłopicki kazał ich pod strażą odprowadzać do granicy. Wołynianom, podolanom, gdy przedstawiali mu potrzebę poruszenia tych ziem, odpowiedział: „Ani jednej skałki nie mam dla was“. Mówił, iż trzydziestotysięcznego wojska polskiego zupełnie wystarczy na to, aby „wykropić się porządnie pod Warszawą“, dać przeciwnikowi dobrego „kułaka“ i „zginąć z honorem“.

Gdy wreszcie w styczniu niesłychane postępowanie dyktatora coraz powszechniejsze oburzenie budzić zaczęło i gdy wreszcie złożył on dyktaturę, na wodza powołano Michała Radziwiłła, który sam o sobie mówił, iż nie czuje w sobie żadnych zdolności do dowodzenia armią. I oto w takim stanie rzeczy, gdy Chłopicki prowadzić ofensywy nie chciał, a Radziwiłł nie umiał, po dwóch z górą miesiącach stagnacyi, powstanie,

nie ruszywszy ani kroku naprzód, doczekalo się nareszcie armii rosyjskiej w Kongresówce.

Już pod Stoczkiem okazała się w całym blasku dzielność żołnierza polskiego. Pod Grochowem, 25 lutego doszło do walecznej rozprawy. Wojska polskiego było niespełna trzydzieści tysięcy, jeśli nie liczyć oddziałów Krukowieckiego i Łubieńskiego, które udziału w bitwie nie wzięły. Armia rosyjska była dwa i pół razy liczniejsza, mniej więcej taki sam był stosunek artylerji rosyjskiej do polskiej. Dodajmy do tego bezprzykładnie postawioną sprawę dowództwa polskiego. Radziwiłł, pozostając nominalnie wodzem naczelnym, na polu bitwy zeszedł w cień, Chłopicki, w którym na widok walki ocknął się lew, prowadził bitwę, lecz stąd wynikały zamieszania. Jenerał Łubieński, pomimo rozkazu Chłopickiego, nie ruszył w bój, Krukowiecki przez cały czas bitwy stał beczynnje pod Białoleką. Pomimo wszystkiego, aż do chwili, gdy ciężko ranny Chłopicki opuścić musiał plac bitwy, zwycięstwo zdawało się przechylać na stronę polską. Gdy Chłopicki zniknął z widowni, nastąpiło zamieszanie w komendzie polskiej, powodzenie przechyliło się na stronę olbrzymiej przewagi liczebnej rosyjan.

Po bitwie grochowskiej los powstania zdawał się wisieć na włosku, lecz Dybiez nie czuł się dość silnym, aby uderzyć na Warszawę. Straty rosyjskie po bitwach pod Stoczkiem, Dobrem, Wawrem, Grochowem były bardzo znaczne. Żołnierz źle odziany i karmiony, w wojsku wzmagały się choroby. Lwi opór armii polskiej wprowadził Dybieza w zdumienie, rozpoczął się w nim ten upadek ducha, jaki odtąd będzie go cechował aż do śmierci. Przeczuwał, iż nad niegościnną Wisłą wypadnie mu stracić laury, tak łatwo w poprzednich kampaniach zdobyte.

Po bitwie grochowskiej powstanie dostało wodza, który musiał je zgubić, pomimo iż miał przy boku genialnego i niezmordowanego w tworzeniu coraz to nowych planów Prądzyńskiego. Skrzynecki wierzył w swój talent dyplomatyczny i hetmaństwo swe rozpoczął od niewczesnych i oczywiście bezwoc-

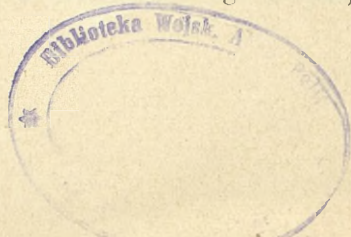
nych układów z Dybiczem, poczem popadł w nieczynność wojskową, natomiast rozwinął w ciągu całego swego dowództwa obfitą korespondencję quasi-dyplomatyczną, rozpisując przy pomocy Andrzeja Horodyskiego kunsztownie układane listy do mężów stanu angielskich, francuzkich, austriackich, pruskich. Tymczasem nieprzyjaciel sam nastęrczał polakom okazye zwycięstwa i trzeba było po nie tylko ręką sięgnąć.

Dybicz zostawił niedaleko Warszawy pod Wawrem oddział Geismara, dalej umieścił korpus Rosena, inne zaś dywizye rozrzucił w dość znacznem oddaleniu od Warszawy we wschodniej części Królestwa. Prądzyński odrazu dostrzegł ten bład Dybicza i namawiał gorąco Skrzyneckiego, aby wyprowadzić całą armię polską, rozgromić Geismara, Rosena, potem z całą siłą ruszyć ku Siedlecom, atakować po kolei rozproszone dywizye rosyjskie i wreszcie zmusić Dybicza do przyjęcia bitwy jeneralnej w niedogodnej dla niego pozycyi między Wieprzem a Wisłą. Wiele nalegań, perswazyi i wysiłków użyć trzeba było, aby przezwyciężyć wstręt Skrzyneckiego do walki. Wreszcie udało się wymódz na Skrzyneckim decyzję i wojsko polskie w nocy z 30 na 31 marca po moście, wyłożonym słomą, wyszło z Warszawy. Geismar pod Wawrem pobity został na głowę. Teraz powodzenie znakomicie obmyślonego planu zależało od szybkości akcji, ale energia Skrzyneckiego wyczerpała się już po bitwie pod Wawrem. Zwlekał on z uderzeniem na Rosena, stojącego pod Dębem Wielkim, wreszcie dał się nakłonić do wykonania paru częściowych ataków, poczem dał już był rozkaz odłożenia bitwy do dnia następnego i tylko, rzec można, niesubordynacya oficerów polskich, którzy, jak Bogusławski, niechcieli słyszeć o odkładaniu bitwy i ruszyli na własną rękę do dalszego ataku, porwała w wir stanowczej walki armię polską wbrew woli naczelnego wodza. Skutkiem bitwy był zupełny pogrom armii Rosena. Zaledwie szczątki jego korpusu uszły w popłochu z pola bitwy.

Teraz należało wykonać główną część planu—iść całą siłą z zagranem przez zwycięztwo wojskiem na Dybicza. W sze-

regach rosyjskich panował popłoch, komenda polska przejęła list Rosena do Dybicza, donoszący w rozpaczliwych słowach o upadku ducha wśród oficerów i żołnierzy. Był to jedyny w powstaniu moment, został on niepowrotnie stracony. Skrzynecki chorował na parweniusza, słabością jego po otrzymaniu buławy była chęć prowadzenia życia na pańską skalę, płynące z tej słabości śmieszności zatruły jego małą duszę, do której wielkie plany nie znajdowały żadnego przystępu. Skrzynecki — rzecz niesłychana a jednak prawdziwa — po bitwie pod Dębem Wielkim cofnął się z kwaterą wtył do Brzezina, gdyż kucharz zawiadomił go, iż rondle do obiadu już rozstawione i sandacz się popsuje, gdy go się nie spożyje na miejscu. Bezprzykładna sposobność została stracona. Skrzynecki marnował w dalszym ciągu dzień za dniem. Szczęście jeszcze raz uśmiechnęło się powstaniu. Prądyński, znakomicie manewrując, zdołał, acz nie wsparty w porę przez naczelnego wodza, odnieść z sześciu tysięcy wojska świetne zwycięstwo nad piętnastu tysiącami rosyjan pod Iganiami. Znakomite to zwycięstwo nie zostało wyzyskane. Skrzynecki, wciąż zwlekając i spóźniając się, dopuścił samochcąc do tego, iż Dybicz wreszcie zgromadził rozproszone dotąd siły pod Siedlcami. W przyszłości Skrzynecki na zapytanie Chłapowskiego, dlaczego nie uderzył na Dybicza po rozbiciu Rosena, mówił, iż „brała go chęćka“, lecz emisariusze, z Francji przybyli, przekładali mu, aby walnej bitwy nie wydawał i armii nie narażał, gdyż w ciągu paru miesięcy negocjacje dyplomatyczne tak się posuną, iż można będzie Polskę na drodze układów odzyskać.

Ale losowi podobało się w dalszym ciągu kusić polaków okazjami zwycięstwa, jakgdyby po to, aby tem boleśniejsem było dla potomstwa rozpamiętywanie losów zmarnowanej kampanii. Po straceniu miesiąca czasu przez Skrzyneckiego, nieznużony Prądyński opracował w maju doskonały plan ataku na gwardye rosyjskie, które, oddzielone od głównej armii, stały w łomżyńskim. Po męczących i przez długi czas bezowocnych naleganiach udało się wyjednać zezwolenie naczelnego wodza,



rzecz została tak dobrze wykonana, iż 17-go maja dwadzieścia kilka tysięcy wojska gwardyjskiego rosyjskiego zostały z paru stron otoczone przez przeważające siły polskie pod Śniadowem, została im do odwrotu jedna tylko i to zatłoczona taborami droga na północo-wschód w stronę Tykocina. Należało tylko dać sygnał do ataku, lecz Skrzynecki, mimo nalegań Prądyńskiego, dać go nie chciał. Skrzynecki wprost obawiał się rozbić i zdzięsiatkować gwardyę, z doborowej młodzieży rosyjskiej rekrutowaną, lękał się bowiem, iż ten pogrom do tego stopnia rozdrażni stronę przeciwną, iż układy będą już wówczas niemożliwe. Pozwoliwszy gwardyi umknąć, wódz wtedy dopiero każe ruszać naprzód, lecz jest już zapóźno; gwardye rosyjskie przechodzą Narew pod Tykocinem i są już daleko, wódz zaś naczelny polski każe odprawić nabożeństwo uroczyste na rynku tykocińskim u stóp pomnika Czarnieckiego...

Jesteśmy już w przededniu klęski ostrołęckiej. Dotychczas Skrzynecki grzeszył bezmyślnem kunktatorstwem, pod Ostrołęką wystąpi w całym blasku jego nieudolność w prowadzeniu bitwy. Wobec kroczącego w ślad za znużoną bezcelowemi marszami i kontrmarszami armią polską Dybicza, który, otrzymawszy posiłki, rozpoczął wreszcie ofensywę, Skrzynecki przeprowadził główne siły na prawy brzeg Narwi pod Ostrołęką, na lewym zaś brzegu zostawił na niechybną klęskę dywizję Łubieńskiego. Siły rosyjskie nadciągały i lada chwila uderzyć miały na szczupły oddział polski, wódz zaś naczelny Skrzynecki odjechał sobie do kwatery we wsi Krukach i spać się położył.

Już Dybicz uderzył na Łubieńskiego, już dywizya polska w najcięższych warunkach cofała się ku rzece i, parta przez nacierającą piechotę, przechodziła most na Narwi pod ogniem artylerji nieprzyjacielskiej, a wódz naczelny spał snem sprawiedliwego i dopiero granat, padły w pobliżu, ze snu go obudzili. Ubrawszy się i dosiadłszy konia, przycwałował na pole walki, a ujrzawszy, co się dzieje, stracił głowę i wydawać zaczął bezmyślne i zabójcze dla armii polskiej rozkazy, rzucając pułk po pułku, brygada po brygadzie, pod piekielnym ogniem

bateryi nieprzyjacielskich, i rozbijając oddziałami dziesiątkowaną już przez drogę przez armaty rosyjskie armię o kolumny nieprzyjacielskie.

Po klęsce ostrołęckiej tracimy już zupełnie wiarę w możliwość wygranej. Tracimy ją tembardziej, iż twórca klęsk zachowany zostaje nadal przy buławie. Nie będziemy już opisywali dalszego konania sprawy pod bezmyślnem dowództwem Skrzyneckiego. Po pozbawieniu wreszcie Skrzyneckiego dowództwa w sierpniu, szanse kampanii tak już upadły w oczach wszystkich, że trudno było znaleźć generała, któryby zgodził się przyjąć skompromitowane przez Skrzyneckiego dowództwo. Energia w prowadzeniu walki była już złamana. Naczelna komenda w opieszałości swej pozwoliła na to, że wobec grożącego lada dzień szturmowi Warszawy dwudziesto-tysięczny korpus generała Ramorino oddalił się z miasta i nie wziął udziału w obronie stolicy. Ósmego września upadła Warszawa. Lecz i po upadku stolicy sytuacja armii polskiej bynajmniej nie była rozpaczliwa. Liczebnie dochodziła ona do pięćdziesięciu kilku tysięcy żołnierza, oprócz załóg w Modlinie i Zamościu. W rękach polskich znajdowały się dwie te mocne twierdze, zaopatrzone w liczne działa i amunicję. Paskiewicz po obsadzeniu załogą rosyjską zdobytej Warszawy nie mógł użyć do walki w polu nawet pięćdziesięciu tysięcy żołnierza. Bynajmniej nie uważał on sytuacji swej za dobrą i gotował się jeszcze do ciężkiej walki. Lecz komendzie polskiej brakło już mocnej wiary, która by tchnęła w wojsko zapal do dalszej walki. Oddziały armii polskiej przeszły we wrześniu i październiku granice austriacką i pruską. Powstanie upadło.

Mikołaj I odetchnął. „Dziesięć miesięcy nieustającej męki skończyło się“ pisał po upadku powstania. Istotnie, były chwile, gdy rewolucya, pomimo niedoleźstwa wodzów, dochodziła do tak groźnej mocy, że i wódz naczelny armii rosyjskiej i sam Mikołaj, z początku powstanie lekceważący, powątpiewali o możliwości zwycięstwa. W maju 1831 roku Mikołaj nakreślił formalny plan zrzeczenia się Królestwa Polskiego, na lewym

brzegu Wisły, na rzecz Prus i Austrii, w zamian za inne kompensaty.

Jeśli dowództwo polskie grzeszyło niedołęztwem, to zato cała armia polska błyszczała w ciągu powstania lwią odwagą i wielką wytrwałością. Bohaterem powstania listopadowego był żołnierz polski, niezrównany ułan, legendowy czwartak. Jeśli Warszawa wystawi kiedyś pomnik bohaterom powstania listopadowego, jako figura główna stać powinien na nim prosty żołnierz polski. Jeśli umieszczeni być mają na nim i wodzowie naczelni—Chłopicki, Skrzynecki, to gdzieś w cieniu, u stóp żołnierza, z twarzą, zakrytą płaszczem oficerskim—ze wstydu i żalu nad własną winą.

Piękne były te sceny powstania, gdy lud, niezmrożony jeszcze klęskami, witał z zapałem wschodzącą jutrznią wolności. Takim był dzień 3 grudnia 1830 roku. Konstanty stał w Wierzbnie, przy nim wojsko rosyjskie oraz parę pułków polskich, niecierpliwie już oczekujących chwili połączenia z braćmi. Między carewiczem a Radą Administracyjną odbywały się układy, lecz lud Warszawy niecierpliwił się i ufał już swej sile. 3 grudnia o godzinie 10 rano, Władysław Zamoyski, wysłany z listem Rady Administracyjnej do carewicza, spotkał na drodze orszak osobliwy: kilkunasto-tysięczny lud zbrojny, wraz z pułkiem Szembeka, ciągnął przez Aleje Ujazdowskie ku rogatkom mokotowskim, by odbić siłą żołnierzy polskich. Chłopicki, niesiony potokiem tej fali, rzecze do Zamoyskiego, wskazując na zegarek, iż jeśli do godziny dwunastej pułki polskie nie wrócą do miasta, on będzie musiał rad nierad uderzyć na Konstantego. Carewicz, widząc usposobienie wojsk polskich, rozumiał, że dalsze zwlekanie z pozwoleniem na powrót pułków polskich do stolicy może być dla niego fatalne, lecz wojsko nie czekało już na pozwolenie bezsilnego wodza, ruszyło do miasta i połączyło się w Alejach Ujazdowskich z braćmi. Powitanie było serdeczne i wzniosłe. Na ten widok Warszawę ogarnął trudny do opisania zapał. Mieszkańcy wylegli na ulice, wołając: „Niech żyje Wojsko Polskie!“ Ludzie wybiegali z tłumu, rozrywali sze-

regi, ściskali żołnierzy. Z okien, wysłanych kobiercami, kobiety powiewały chustkami, chorągwie pułków zdobiono wieńcami, muzyka wojskowa brzmiała od końca do końca miasta. Na wszystkich prawie murach ukazał się wielkimi literami wypisany wiersz Mickiewicza: „Witaj, jutrzeńko swobody, za tobą zbawienia słońce!”

Uroczysty był również dzień 5 grudnia. W dniu tym ubóstwiany jeszcze wówczas Chłopicki ogłosił się dyktatorem. Rozkazawszy wojsku zgromadzić się na Placu Marsowym, przybył tu konno, pomiędzy trzecią a czwartą po południu, otoczony licznym orszakiem oficerów. Warszawa wyległa tłumnie, przyjmowały dyktatora okrzyki wojsk i ludu, przy dźwiękach muzyk pułkowych, grających melodye narodowe. Objechawszy szeregi, przemówił Chłopicki naprzód do Szkoły Podchorążych, podniósł jej czyn bohaterski, dziękował wojsku i ludowi za tyle odwagi, wskazywał potrzebę silnego rządu, oznajmił wreszcie, że bierze dyktaturę, i pytał wokoło, czy lud i wojsko na to zezwala. Grzmiący okrzyk „Niech żyje Dyktator!” — był odpowiedzią. Wówczas Chłopicki odkrył głowę i zawołał „Niech żyje Ojczyzna!” Orkiestry zabrzmiały, wojsko przeciągało przed dyktatorem i opuszczało plac, Chłopicki zaś objeżdżał czas jakiś ulice Warszawy, witany z niegasnącym zapałem.

Wieczorem dnia tego, po raz pierwszy od wybuchu rewolucyi, otwarto teatry.

W Teatrze Narodowym przy Placu Krasińskich, gdy ukazały się na scenie chorągwie z herbami Polski, Litwy i Rusi, publiczność nie mogła powściągnąć zapału. Artystki i artyści otoczyli chorągwie i zanucili hymny narodowe. Publiczność chórem powtarza za nimi ostatnie zwrotki śpiewu: Do broni, Polacy! Po zakończeniu widowiska *Krakowiacy i Górale* zagrała orkiestra taniec Kościuszki, potem poważny taniec Dąbrowskiego, wreszcie mazur legionów włoskich. Na scenie artyści z artystkami tańczyć zaczęli; wnet publiczność rzuciła się do uprzątania z sali krzeseł i tańczyć zaczęło. Kobiety, akademicy, podchorążowie, oficerowie, gwardziści narodowi — wszyscy.

przyśpiewując głośno, toczyli płasy, aż palce orkiestrze mdlały. Taką żywiołową wesołością, dziarską ochotą witał znękany despotyzmem konstantynowskim ogół polski jutrznię wolności.

Później dni radosne były już bardzo rzadkie. Komenda wojskowa mroziła entuzjazm, „przykładała lód do bijącego gwałtownie serca Polski“ (Mochnacki). Ludność napróżno aż do końca kampanii tęskniła za prawdziwym wodzem, w którym by położyć mogła całą ufność, i całą duszą rwała się do bohaterstwa.

Jedną z chwil takich podniosłych przeżyła Warszawa już na schyłku rewolucyi. Był to powrót generała Dembińskiego do stolicy w dniu 3 sierpnia 1831 roku. Gdy spóźniona wyprawa na Litwę zakończyła się niepowodzeniem, gdy Giełgud, Roland, Chłapowski, Szymanowski dążyli z oddziałami swemi do granicy pruskiej, by tam broń złożyć, zachwiani ich przykładem oficerowie oddziału Dembińskiego zaczęli już przekładać, że i dla nich ta sama niesławna tylko pozostaje droga. Wówczas Dembiński, zgromadziwszy oficerów, oświadczył im, że nie wydaje im żadnych rozkazów; oznajmia jednak, że jeśli w całym oddziale znajdzie się choć kilku walecznych, gotowych los jego podzielić, on stanie na ich czele, poprowadzi ich do kraju, a do powstania przedrzeć się musi. „Widziałem wiele łez cichych, koło mnie płynących“ opowiada o tem sam Dembiński: „Milczenie nastąpiło, ani słowa słyhać nie było, widzieć tylko się zdawało, że walka wewnętrzna toczy się między powinnością dla ojczyzny a pewną śmiercią lub niewolą“.

I poszli wszyscy za swoim wodzem. Odłączając się w Kurzanach od Chłapowskiego, miał Dembiński trzy tysiące kilkuset ludzi, sześć dział, w kasie sto złotych polskich gotówki, między sobą a krajem ogromną przestrzeń, trudne do przebycia bezdroża leśne, cztery rzeki i czatujące nań rozstawione po drodze oddziały rosyjskie, które ogółem dochodziły do liczby czterdziestu tysięcy ludzi. Wśród niebywałych trudności i niebezpieczeństw zwyciężył Dembiński wszystkie przeszkody, parokrotnie rozbił oddziały nieprzyjacielskie, zabrał sporo jeńców,

wziął do niewoli generała Paniutyna, po drodze przyłączył do swego oddziału powstanie nowogrodzkie i, przebywszy siedemset wiorst w ciągu dni ośmnastu, dnia 3 sierpnia doszedł do Warszawy.

Wiadomość o zbliżaniu się oddziału Dembińskiego do stolicy wywołała zapał nieopisany. Warszawa bez różnicy wieku, płci i powołania była od rana na nogach. Osobliwy widok przedstawiało powracające wojsko. Mundur polski obok rosyjskiego, strój wojskowy przy cywilnym, siermięga przy czamarze, kurtka ułańska obok strzeleckiej. Broń najrozmaitsza: karabiny kalibrowe, janczarki, sztucce, fuzye, pałasze, karabele, kindzały; konie polskie, żmudzkie, wołyńskie, bryczki, wozy, wózki, kałamaszki. Warszawa okrzykami radości i uwielbienia witała bohaterski oddział. Gdy Dembiński ze sztabem jechał konno z Pragi do Warszawy, lud rwał się do wodza, padał na kolana, nogi, strzemiona i konia całował. Wokoło rozbrzmiewał okrzyk „Niech żyje Henryk Dembiński, prawy syn ojczyzny!”

Był to ostatni radosny dzień powstania listopadowego.

* * *

Po upadku rewolucyi uczestnicy jej kraj opuścić musieli. Jedni poszli na zachód i wytworzyli tam Wielką emigracyę. Innych przemoc zwycięzcy pognała na wschód — na Sybir. Wszyscy już leżą w grobie, zaludniwszy gęsto nagrobkami polskimi cmentarze Europy zachodniej i pustkowia Sybiru. Wszyscy do końca życia marzyli o wielkiej wojnie europejskiej, która, według ich nadziei, otworzyć miała mogiłę Polski.

Widzę przed sobą te twarze wychudłe, nerwowe, pełne ducha, jakie ku nam wyglądają ze starych fotografii i portretów, twarze urobione przez lata tęsknoty i płonnej nadziei, twarze żołnierzy i marzycieli-mistyków, Seweryna Goszczyńskiego lub Stanisława Worcella. Widzę, jak w nędznej izdebce na poddaszu w dzielnicy Montparnasse w Paryżu przegląda wiarus przy mdłym światelku lampki kartki gazety emigracyjnej, która

zapowiada wojnę na wiosnę: albo Turczyn ruszy na Rosyę, albo Napoleon III naprawi błąd wielkiego Napoleona i ujmie się naprawdę za Polską, albo Palmerston sunie okręty pod Petersburg... W niespokojnych snach nocnych wiarusa z pod Grochowa nieraz śni mu się ta wojna przyszła i szuka przez sen u boku lancy ułańskiej; lecz lancy niema, złamał ją przed laty, wychodząc z kraju na obcą ziemię pod Rybińskim, zakopał za pruską granicą. Z genialną prostotą odtworzył te sny wiarusa Mickiewicz. „Ja w tej izbie spać nie mogę, inną izbę daj sąsiedzie, bo tu okna są na drogę, a tą drogą poczta jedzie“. I dalej skarży się wojak, iż gdy trąbka zagra, to mu w nocy serce skacze, marzą mu się konie, chorągiewki i wiarusów śpiewki i słyszy głos swego kaprała: „Wstawaj, jedźwa na moskala!“

Widzę tych emigrantów, jak zbierają się w rocznicę 29-go listopada czy to w lokalu polskim przy rue Taranne, czy w Hotelu Lambert. Tu stary książe Adam wznosi długi uroczysty toast, starcy trzęsą osiwiąłemi głowami i co rok oczekują cudu—wiosny ludów. A tu bieda i tęsknota i starość coraz mocniej tłoczą, wreszcie przychodzi śmierć. I zbierają się tułacze, niosą ubogą trumnę drewnianą do kościoła Saint Germain des Prés, gdzie grobowiec Króla-tułacza — Jana Kazimierza, a potem daleko na ementarz w Montmorency; nad mogiłą przemawia towarzysz tułactwa i ubolewa nad tem, że zmarły nie doczekał upragnionej chwili zmartwychwstania Polski, która snadź się już zbliża, i orszak żałobny wraca do domu, by znów marzyć o wielkiej chwili wyzwolenia.

Lecz żywiej jeszcze staje mi przed oczyma rocznica 29 listopada u tych wygnańców, którzy szli na wschód, na Sybir tą śnieżną drogą z widzenia Księdza Piotra w Dziadach. Tą drogą poszli w kajdanach po roku 31 i w późniejszych latach Piotr Wysocki, ksiądz Sierociński, który umarł potem pod pałkami, ksiądz Piotr Ściegienny, marzyciel ludowy, Rufin Piotrowski, Szymon Tokarzewski, Gerwazy Gzowski i tylu, tylu innych. Osadzano ich w Nerczyńskich kopalniach, Tobolsku,

Tarze, Akatui, Wierchnieudińsku, Ustsysolsku. Widzę wygnańców z rewolucyi listopadowej zebranych wieczorem 29 listopada w jurcie jednego z nich pod pozorem rodzinnej uroczystości. Na stole skromny posiłek, stoi nawet flaszka wódki. Ta ostatnia zresztą przeznaczona nie dla gości, lecz dla sztyldwacha, kozaka w wielkiej futrzanej czapce, który z karabinem w rękę czuwa na progu przed izbą. Goście zasiadają do stołu, mówią mało, myślą wszyscy o jednym, słowa zbyteczne. Wreszcie gospodarz wstaje i niesie flaszkę z gorzalką żołdatowi, ten wychyla ją, siada na przyzbie, opiera karabin, czas jakiś nuci jakąś smętną sybirską melodyę, wreszcie zasypia. Gdy chrapanie jego rozległo się na dobre, gospodarz wstaje, wyciąga ze skrytki pod łóżkiem starannie obwiniete jakieś papiery; nakłada okulary, rozwija kartki. Wszyscy się skupiają, on czytać zaczyna: Księgi Narodu i Księgi Pielgrzymstwa Polskiego. Wsłuchują się w podniosłą, górną opowieść o Polsce rozebranej, w rady natchnione, w myśli mistyczne.

A potem—trzeba wskrzesić w tym dniu uroczystym przed oczyma wiarusów dni chwały. Odnalazł gospodarz inną kartkę: Reduta Orдона. Wytrysnęły na chwilę rumieńce na zwiędłych twarzach, posypały się wspomnienia. Już wre dysputa wojskowa i polityczna, niby w kawiarni Honoratki podczas powstania, krytykują Chrzanowskiego, Skrzyneckiego, Krukowieckiego, zaczynają wspominać towarzyszy padłych, dni kłęski; twarze powoli zasepiają się, ożywienie gaśnie.

Godzina już późna, lecz gospodarz czuje, że wygnańcy nie powinni pójść do domu ze wspomnieniem kłesk minionych, że należy w tę rocznicę drogą wskrzesić przed ich oczyma obraz ojczyzny; niech każdy ujrzy oczyma duszy tę ziemię, za którą tęskni, a którą opuścił w kibitce w ponury dzień jesienny 31 roku, rozglądając się chciwie naokoło po raz ostatni, żegnając się ze łzami przed każdym kościołem, przed każdym krzyżem przydrożnym. Więc wydostaje mały tomik, jeden z tych, o których autor mówił: „Więc mimo carskich gróźb, na złość strażnikom ceł, przewozi w Litwę żyd tomiki moich dzieł“,

otwiera i zaczyna czytać: „Litwo, Ojczyzno moja, Ty jesteś jak zdrowie...“—Czarodziejska modlitwa Polaka do Ojczyzny. Po paru zwrotkach opadły dłonie czytającego, zamilkł, wszyscy znieruchomieli, zamarli w bezruchu, szeroko rozwarte źrenice patrzą gdzieś w głąb izby... Ocknął się żołnierz, zbudzony nagłą ciszą, zajrzał w okno, uspokoił się: widać upili się buntownicy i drzemią; wrócił na miejsce, a oni spełniali w tej chwili przestępstwo, którego żołdat nie upilnuje — dusze ich wędrowały, mimo carskich gróźb, z tajgi syberyjskiej do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem, posrebrzanych pszenicą, pozłacanych żytem... — Tak spędzali rocznicę 29 listopada wygnańcy.

Tę rocznicę 29 listopada, którą dziś obchodzimy na obczyźnie z powiewającym nad nami sztandarem narodowym, święciliśmy w Warszawie co roku w ciszy, w tajemnicy. Skoro zmrok zapadał, spieszyliśmy na zebranie, gdzie czekało grono młodzieży oraz ludzi starszych; wchodząc na salę, czuliśmy, że w piersiach obecnych bije serce tak samo, jak biło w piersiach Podchorążych, gdy 29 listopada 30 roku poszli, jak burza, budzić naród do zmartwychwstania.

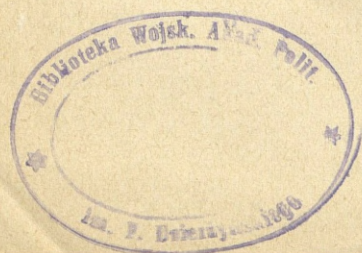
Po drodze, gdy wracaliśmy późnym wieczorem do domu, spoczywało na nas niespokojne oko szpiega, lecz bardziej od oka szpiegowskiego bolał nas nieraz widok ludności, wypełniającej kabarety, kawiarnie, wesołe widowiska w zapomnieniu o narodowej rocznicy.

W dzisiejszym dniu, w tę rocznicę zbrojnego wojskowego czynu myśl bieży do Warszawy, spoczywa tam chwilę i, parta magnetyczną mocą olbrzymich krwawych zapasów, dąży do okopów, gdzie walczą żołnierze Polacy. Wieluż z nich pamięta o dzisiejszej rocznicy? Czegóżby można dokazać, gdyby tak stanęli wszyscy ramię przy ramieniu pod narodowym sztandarem! Jakąż garstką byłiby wobec nich rycerze Grochowa, którzy stawili czoło największej potędze Europy!

Nadeszła chwila, na którą naród czekał lat sto pięćdziesiąt. Ci, którzy na grobie naszym tyle razy zgodę i przy-

jażń sobie ślubowali, dziś w śmiertelnym są ze sobą boju.
W takiej chwili dusza Narodu rwie się z nieprzewyciężoną
mocą do niepodległości, a niewidzialna Opatrzności ręka kre-
ślić zdaje się w dniu dzisiejszym na murach Warszawy te sło-
wa, które widniały na nich w dniu 3 grudnia 1830 r.: Witaj
jutrzyenko swobody, za tobą zbawienia słońce!





Biblioteka Główna
Akademii Obrony Narodowej

34529/2



12-034529-000-0

WYDAWNIC

ASKENAZY SZ. Dwa s	
— Wczasy his	
— Wczasy historyczne	
— Nowe wczasy	7.50
BARTOSZEWICZ K. Dzieje Galicji, jej stan przed wojną i wyodrębnienie	3.—
CHLEBOWSKI B. Rozwój kultury polskiej w treściwym zarysie przedstawiony	4.—
DĘBICKI ZDZIŚŁ. Kryzys inteligencji polskiej	8.—
FREDRO A. HR. Trzy po trzy. Pamiętniki z epoki napoleońskiej. Z przedmową A. Grzymały—Siedleckiego. Wstępem i uzupełnieniami zaopatrzył H. Mościcki. Z 52 ilustracjami w tekście i 8 na osobnych kartonach	22.—
JANKOWSKI CZ. Na gruzach Turcji. Zarysy historyczno publicystyczne	4.—
KOSKOWSKI B. Ostatni rozbiór Turcji. Rozkład państwa Tureckiego w Europie. Polityka europejska względem Turcji. Czem jest Turcja azjatycka	3.—
KOZŁOWSKI-BOLEŚCIC ST. AL. Henryk Sienkiewicz i ród jego. Studium heraldyczno-genealogiczne	4.—
KUBALA L. Szkice historyczne. Serja III. Wojna moskiewska 1654—1655	7.50
ŁOZIŃSKI B. Szkice z historii Galicji w XIX w.	15.—
MOŚCICKI ST. Generał Jasiński i powstanie Kościuszkowskie z 10r ilustr.	18.—
NIEMCIEWICZ J. U. Pamiętnik z czasów Ks. Warsz. (1807—1809)	4.—
PAPÉE FR. Polska i Litwa na przełomie wieków średnich. I.	14.—
— Studja i szkice z czasów Kazimierza Jagiellończyka	8.—
POLSKA I LITWA W DZIEJOWYM STOSUNKU.	
Treść: W. Abraham, Polska a chrzest Litwy. Ks. J. Fijałek, Kościół rzymsko-katolicki na Litwie. Uchrześcijanienie Litwy przez Polskę i zachowanie w niej języka pod koniec Rzeczypospolitej. J. Rozwadowski, Mapa językowego obszaru litewskiego. A. Brückner, Polacy a Litwini. Język i literatura. Wł. Semkowicz, Braterstwo szlachty polskiej z bojarstwem litewskim w Unji horodelskiej 1413. S. Kutrzeba, Unja Polski z Litwą	18.75
PRZYCZYNY UPADKU POLSKI. Odczyty: F. Papée, Zapatrywania dotychczasowe. E. Romer, Warunki geograficzne. O. Halecki, Ekspansja i tolerancja. F. Bujak, Siły gospodarcze. S. Kutrzeba, Siły państwowe. J. Kallenbach, Siły moralne i umysłowe. W. Konopezyński, Polityka zagraniczna. Tenże Pierwszy rozbiór. W. Tokarz, Dwa ostatnie rozbiory. 1. Chrzanowski, Zakończenie	7.50
SIEDLECKI-GRZYMAŁA AD. Wyspiański. (Cechy i elementy jego twórczości) wydanie drugie	9.—
SMOLEŃSKI WŁ. Jan Henryk Dąbrowski z 5-ciu rycinami	2.50
— Ostatni rok Sejmu Wielkiego (Dalszy ciąg dzieła Ks. Kalinki p. t. Sejm czteroletni)	10.—
SMOLKA FR. Dziennik 1848—1849 w listach do żony	11.—
SOBIEŚKI W. Pamiętny sejm (1606)	7.—
— Szkice historyczne	5.—
— Trybun ludu szlacheckiego (Jan Zamoyski)	5.—
SZELAĞOWSKI AD. Niemcy Austria i kwestya polska	3.—
— O ujście Wisły, wielka wojna Pruska	9.—
WEYSENHOFF. Jan generał. Pamiętnik 1789—1831	6.50
WŁODEK LUD. Bolesław Prus. Zarys społeczno literacki	10.—
WYPISY HISTORYCZNE ilustrowane pod redakcją K. Wachowskiego Tom I. Historia starożytna opr. przez Dr. J. Jastrzębską i K. Wachowskiego z 51 tabl. tom. I. . . Mk. 10.—, w opr. Mk. 12.—, w ozdobnej opr.	14.—